

Nie od dziś zauważam, że od najmłodszych lat przyjmowałem fałszywe poglądy za prawdę i że to, co od tego czasu zbudowałem na tak źle upewnionych podstawach, musi być bardzo wątpliwe i niepewne. Uznałem więc, że powinienem raz w życiu wyzbyć się wszystkich poglądów, które wcześniej zdarzyło mi się przyjąć na wiarę, i - gdybym miał ustalić coś pewnego i trwałego w nauce - rozpocząć całkiem od nowa i od podstaw. Dziś pozbyłem się z duszy wszelkiego rodzaju trosk, tak że szczęśliwie nie czuję się pobudzany przez żadne emocje, zapewniłem sobie całkowity spokój i oddaję się z powagą i swobodą demontażowi wszystkich moich dawnych poglądów. Aby to osiągnąć należy odrzucić każde przekonanie, w którym znajdę jakikolwiek powód do wątpienia. A w tym celu nie będę potrzebował badać wszystkiego z osobna, co byłoby przecież pracą nieskończoną, ale ponieważ zniszczenie fundamentów pociąga za sobą z koniecznością ruinę całej budowli, wezmę się najpierw do samych zasad, na których opierały się wszystkie moje dawne poglądy.

Wszystko, co dotychczas uważałem za najbardziej prawdziwe i uzasadnione, przyjąłem od zmysłów lub poprzez zmysły. Przekonywałem się już jednak niekiedy, że zmysły bywają zwodnicze, a ostrożność nakazuje, by nie ufać całkowicie tym, którzy nas choć raz wprowadzili w błąd.

A ileż to razy zdarzało mi się śnić nocą, że jestem tutaj, że jestem ubrany i siedzę przy kominku, chociaż leżałem nagi w łóżku. A teraz wydaje mi się przecież, że nie śnię, widząc ten papier, że ta głowa, którą poruszam, nie jest uśpiona, że celowo i rozmyślnie wyciągam tę rękę i że ją czuje - to, co dzieje się we śnie, nie jest ani tak jasne, ani tak wyraziste. Jednakże, gdy uważnie to rozważam, to przypominam sobie, że często bywałem we śnie mylony przez podobne złudzenia. Biorąc pod uwagę to spostrzeżenie, widzę z taką oczywistością, że nie ma żadnych pewnych wskazówek, dzięki którym można by ściśle odróżnić jawę od snu, iż ogarnia mnie zdziwienie - zdziwienie tak wielkie, że omal przekonuje mnie, iż faktycznie śpię.

Niezależnie od tego, czy czuwam, czy też śpię, dwa plus trzy jest zawsze pięć, a kwadrat nigdy nie ma więcej niż cztery boki i nie wydaje się możliwe, żeby prawdy tak jasne i tak oczywiste mogły być objęte podejrzeniem jakiegokolwiek fałszywości czy niepewności.

Jednakowoż od dawna już jest w mej duszy przekonanie, że istnieje Bóg, który wszystko może i który stworzył mnie i uczynił takim, jakim jestem. Lecz czy mogę wiedzieć, że nie sprawił on, że wcale nie ma żadnej Ziemi, nieba, żadnego ciała przestrzennego, żadnego kształtu, żadnej wielkości, żadnego miejsca, a mimo to ja mam spostrzeżenia zmysłowe tych wszystkich rzeczy, i że to wszystko wydaje mi się istnieć w taki sposób, jak to widzę? A skoro uważam czasami, że inni mylą się w rzeczach, na których, wedle ich własnego przekonania, bardzo dobrze się znają, to czyja mogę wiedzieć, że Bóg nie sprawia, że mylę się za każdym razem, gdy dodaję do siebie dwa i trzy lub gdy liczę boki kwadratu albo gdy wydaję sąd o czymś jeszcze łatwiejszym, jeśli w ogóle można sobie wyobrazić coś łatwiejszego? Lecz może jednak Bóg nie chciał, bym był łudzony w taki sposób, skoro przecież mówi się o Bogu, że jest w najwyższym stopniu dobry?

Przyjmę więc teraz założenie, że wprawdzie nie Bóg, który jest w najwyższym stopniu dobry i jest najwyższym źródłem prawdy, lecz że jakiś *zły demon*, tyleż przebiegły i zwodniczy, ile potężny, użył całej swej zmyślności, ażeby mnie wprowadzić w błąd. Będę myślał, że niebo, powietrze, Ziemia, kolory, kształty, dźwięki i wszystkie inne rzeczy zewnętrzne są jedynie złudzeniami i zjawami, którymi posłużył się on, aby zastawić sidła na mą łatwowierność. Będę o sobie samym sądził, że nie mam rąk ani oczu, ani ciała, ani krwi, ani żadnych zmysłów, a jedynie fałszywie wierzyłem, iż mam to wszystko. Będę uparcie trwał przy tej myśli i chociaż w ten sposób nie będę w stanie dojść do poznania żadnej prawdy, to przynajmniej będę zdolny zawiesić swój sąd. Dlatego też z największą troską zadbam o to, aby nie

przyjąć żadnego fałszywego przekonania, i przygotuję swą duszę na wszystkie podstępny tego wielkiego zwodziciela, tak aby, jakkolwiek byłby on potężny i przebiegły, i tak nie mógł mi nigdy nic narzucić.

Lecz przedsięwzięcie to jest żmudne i pracochłonne, a tymczasem coś na kształt lenistwa wciąga mnie niepostrzeżenie z powrotem w naturalny bieg mego życia. I całkiem jak niewolnik, który radując się we śnie wyobrażoną wolnością, gdy tylko zacznie podejrzewać, że ta wolność jest jedynie snem, boi się obudzić i oddaje się jeszcze przyjemnym złudzeniom, aby jak najdłużej go zwodziły, również i ja popadam niepostrzeżenie dla mnie samego z powrotem w swoje dawne mniemania i boję się obudzić z tej drzemki, w obawie, czy aby pracowite czuwanie, które miałyby nastąpić po spokojnym odpoczynku, zamiast dostarczyć mi dziennego światła do poznawania przez mnie prawdy, nie okaże się przynosić go za mało, aby rozjaśnić wszystkie mroki trudności, które właśnie zostały poruszone.

Przyjmuję więc, że wszystkie rzeczy, które widzę, są fałszywe; uznaję, że nigdy nie było tego wszystkiego, co moja wypełniona kłamstwami pamięć mi przedstawia; myślę o sobie jako nie mającym żadnych zmysłów: sądzę, że ciało, kształt, przestrzenność, ruch i miejsce są jedynie fikcjami duszy. Co zatem będzie można uznać za prawdę? Być może nic, chyba że to jedno tylko, iż nic w świecie nie jest pewne.

Lecz może jednak jest taka rzecz, inna niż wszystkie, które właśnie uznałem za niepewne, co do której nie można by już mieć najmniejszych wątpliwości? Czyż nie jakiś bóg lub jakaś inna moc wprowadza w mą duszę obecne me myśli? Nie jest to konieczne, być może bowiem jestem zdolny wytworzyć je sam z siebie. Wierzę przynajmniej ja sam może jestem czymś? Zaprzeczyłem już wprawdzie, jakoby miał jakieś zmysły lub ciało, a jednak waham się, nie wiedząc co z tego wynika? Czy jestem tak zależny od ciała i od zmysłów, że nie mógłbym istnieć bez nich? Ale też sam przyjąłem, że nie ma w ogóle niczego w świecie - żadnego nieba, ziemi, żadnych dusz ani ciał. Czy nie przyjąłem tym samym, że i mnie samego wcale nie ma? Ale jakżeby tak? Bez wątpienia byłem, skoro powziąłem jakieś przekonanie lub choćby coś pomyślałem. Wprawdzie jest jakiś zwodzieciel, nie wiem jak potężny, który używa całej swej przebiegłości, by mnie wciąż wprowadzać w błąd. Wierzę bez wątpienia ja jestem, skoro on mnie zwodzi. Niech mnie więc zwodzi, ile chce, a i tak nie sprawi, abym był niczym, jeśli tylko będę myślał, że jestem czymś. W ten sposób, po dokładnym zastanowieniu i uważnym rozważeniu wszystkiego, uznać należy za ustaloną tę konkluzję, iż stwierdzenie: *jestem, istnieję* jest z koniecznością prawdziwe, ilekroć je wypowiadam lub pojmuję w duchu.

Jestem, istnieję - to pewne. Jak długo jednak? Otóż tak długo, jak długo myślę. Bo też być może mogłoby się tak stać, gdybym całkowicie przestał myśleć, że jednocześnie przestałbym całkowicie istnieć. Obecnie przyjmuję jednak tylko to, co jest prawdziwe w sposób konieczny. Jestem więc, mówiąc ściśle, rzeczą myślącą, to znaczy duszą, umysłem czy rozumem, które to pojęcia mają znaczenie wcześniej mi nie znane. Jestem więc czymś prawdziwym i naprawdę istniejącym. Ale czym? Powiadam na to: czymś, co myśli.

I czym jeszcze? Wysilę swą wyobraźnię, by przekonać się, czy nie jestem może czymś ponadto. Nie jestem bynajmniej tym zespołem członków, który nazywa się ciałem ludzkim; nie jestem też żadnym subtelnym powietrzem, ulotnym i przenikliwym, które rozpościerałoby się we wszystkich jego częściach. Nie jestem żadnym powiewem, tchnieniem czy oparem, ani niczym takim, co mógłbym sobie wymyślić lub wyobrazić, jako że założyłem, iż wszystko to jest niczym - trwając przy tym założeniu, stwierdzam jednak, że nie przestaję być pewien, że jestem w ogóle czymś.